

Przyjaciel Ludu.

Rok piąty.

No. 23.

Leszno, dnia 8. Grudnia 1838.



Ludwika z książąt pruskich Radziwiłłowa.

Szlachetność duszy, to prawdziwa wielkość: dowodem tego dostojna księżna. W prywatnym swym życiu pozyskała ona więcej może prawych czcicieli, więcej serc wielbiących i kochających ją szczerze, jak gdyby była na potężnym zasiadała tronie. Wskutek wzajemnej skłonności połączona z księciem Antonim Radziwiłłem, celującym świetnymi umysłu i ciała przymiotami, udała się po utworzeniu xiestwa Poznańskiego z swym dostojnym małżonkiem, namiestnikiem królewskim, na mieszkanie do Poznania. Szlachetnością duszy, niewymowną dobrocią serca i rzadką uprzejmością, w krótkim czasie zjednała sobie księżna, miłość mieszkańców tutejszej prowincyi, którzy z uniesieniem wszędzie ją przyjmowali. Lecz najszacowniejszym jęj pięknej duszy przymiotem, była dobroczynność: iluż to biednych uszczęśliwiła? ilu podźwignęła z niedostatku? ile łez otarła! ilu karmiła i zasilala hojną jałmużną? ilu nieszczęśliwym podała sposób do życia? Świadkiem tego jest cała ludność Poznania; co mówię? cała prowincya: nie masz bowiem kącika, gdzieby dostojna księżna nie zastępnęła jakim dobrodziej-

stwem. Lecz najtrwalszym jęj imienia pomnikiem jest instytut siostr miłosierdzia w Poznaniu, w którym teraz cierpiące ubóstwo znajduje przytułek i skórą lekarską pomoc. Dla tego też zgon jęj pograżył całą ludność Poznania w grubej żałobie, i wycisnął z wdzięcznych serc nie jedną łezkę prawdziwego żalu. Umarła dnia 7. Grudnia 1836 r., to jest właśnie przed dwoma laty. Szanowne jęj zwłoki przywieziono niedawno do Antonina i tam w Mauzoleum, razem z ukochanym małżonkiem spoczywają. Red. otrzymała w tęg chwili od jednego z szan. obywateli M. T. opis obchodu pogrzebowego w Antoninie, który wraz z ryciną Mauzoleum w przyszłych Numerach umieści.

Wilk i skowronek.

(Gadka z okolic Rawicza.)

„Precz, precz, z twojemi pisklety, jeśli nie chcesz, by poginęły;“ wołał ryjący srodkiem zagonu kręt na skowronka, który może tylko

o krok jeszcze przed nim karmił piszczące swe w gniazdku potomstwo.

„O Boże! przyjacielu ... czyż koniecznie środkiem tego zagonu twoja droga iść musi? czyż niepodobna ci wyboczyć troszeczkę? wszakżeż tak łatwobys to mógł uczynić, a mnie tak srogić nie wyrządzać krzywdy. Przyjacielu, miej litość nad temi pisklętami.“ Tak błagał okrutnego kreta drżący ze strachu skowronek.

— „Ja nigdy z mego gościńca nie zbaczam: prosto pod twoim gniazdem ryję; więc mnie daremnie drażnisz twym piskiem: tak być musi i koniec! Zebys jednak poznał moją sprawiedliwość, daję ci trzy dni czasu do przeniesienia na inne miejsce twoich małych; ale pamiętaj! jeśli twego gniazda na wyznaczony czas nie uprzątniesz, choćbyś się i o pół minuty tylko opóźnił; wszystko spustoszone zastaniesz: znasz moją regularność.“

I odwróciwszy się natychmiast, cofnął się rozrytym już gościńcem, zwolna ziemię nad sobą unosząc. Strwożony zaś skowronek, uleciał prawie w oblakaniu pod niebiosa, śpiewając piskliwie, potem znów wracał na gniazdko i znów odlatywał; aż w rozpaczy, tłukąc się po polach, po łąkach, przez dzień niemal cały, gdy słońce zachodzić miało, wpadł do zielonego gaju, piszcząc przeraźliwie.

„A, a ciebie co tu niesie do lasu? zapytał stroskanego przybysza wilk, co na dwóch tylnych łapach oparty siedząc, przyćmionemi nieco blaskiem zachodzącego słońca oczy, spoziierał na pola, czy tam przypadkiem nie ujrzy gdzie młodego zajaczka lub zbłąkaną owieczki. Czy się chcesz nauczyć po drzewkach skakać, jak reszta twego skrzydlatego rodu? O, siedziałbyś w twoich błoniach, w których nie trudno o ziarnko dla zgłodniałego brzuszka; a tu w lesie, to nieraz długo trzeba zębami czekać, nim się co nawinie do zaspokojenia szarpającego wnętrza głodu! Ja o tym najlepiej sądzić mogę, bo już od trzech przeszło dni powietrze tylko łykam. A niechby je piorun zatrzaskał takie życie! codzień to gorzej. Jeśli więc tutaj lepszego żeru szukać przyleciałeś, moja piszczałeczko, toś się źle wybrał.“

„Gdzie mnie tam myśleć o jedzeniu, sędziwy przyjacielu! Mam z łaski Boga tyle do strawy, że nie tylko siebie, ale i dwudziestu takich, jak ty, mógłbym używić przyjaciół; ale inna, stokroć dotkliwsza tłoczy mnie boleść, a tej mi pewnie już nikt nie odejmie.“ To rzekłszy, począł znów rzewnie kwilić. Wilk zaś mało zważając na to, myślał tylko z rokoszą o owych licznych zasobach żeru, i jakby ich dopaść. Począł więc cieszyć swego pod grządką przypadłego drobnego towarzysza.

— „Ej! cóż tam, kiedy ci tylko głód nie dokuca, to reszta fraszki. Zwierz mi się szczerze, a wszystkiemu zaradzimy; boć przecież, choćby się też i z niedźwiedziem potykać przyszło, do

stu gromów! jeszcze dosyć siły czuję w sobie. No, no, już skończ, skończ te piski, a opowiadaj, bom bardzo ciekawy.“ —

Po długim kwileniu, które nareszcie choć dosyć powolnego znudziło wilka, opowiedział skowronek całe swoje nieszczęście.

„I nic więcej? jam myślał, że ciebie już tam jutro gdzie piec będą na rożnie, a tu tylko o poskromienie upartego kreta chodzi, ha, ha, ha! — No, ja cię wybawię z tego nieszczęścia, ale sobie trzy rzeczy wymawiam, naturalnie, że dopiero po pracy nagroda; pierwsza, żebym się najadł porządnie, druga, bym się takż napił, a ostatnia, bym się też i zabawił uczciwie!“

— „Ach przyjacielu! wszystko, nawet nad miarę ci przyrzekam.“

— „Dobrze, teraz mi pokaż, gdzie to twoje gniazdo, a potem lataj spokojnie, dopóki czas przez twego, jak go tam zowiesz, zabójcę naznaczony nie minie; poczem natychmiast mi wracaj do twoich małych, bo obronić, to ja je potrafię, ale co nakarmić zgłodniałe, tego się już niepodejmę. W pośrodku porosłego majową trawką zagonu, zrzecznie uwite, cokolwiek w ziemię wtłoczone gniazdko, zamykało pięcioro pierzających się dopiero ptaszyn. Tłoczone dwudziennym niemal głodem, niebogi z piskiem wyciągały główki, wyglądając tak długo niewidzianej matki. Obok nich przyczajony do ziemi leżał w milczeniu stary wilk. Iskrzące się oczy jego nie trwożyły niewinnych bynajmniej. W tém się ziemia pod ptaszynami zwolna unosić poczyną, coraz więcej i więcej, czują nareszcie, że się już ich gniazdo wywraca; piszczą więc przeraźliwie, gdy nagle posłyszały silne pod sobą uderzenie, którem wstrząsniony ich domek, w dawne upadł miejsce. Zamilkły z trwogi; ale w téjże samej chwili, siadła przy nich z pokarmem tak długo oczekiwana matka.“

„No, już ci on teraz więcej szkodzić nie będzie; oto go masz tego nieprzyjaciela twego;“ ozwał się stojący obok wilk do skowronka, wskazując mu zabitego kreta, którego łapą w bródę wygarnął. Ale teraz dotrzymaj przyrzeczenia, już mi się też porządnie jeść chce.“

Nie posiadający się prawie z radości skowronek, nie mógł się dosyć nadziękować swemu wybawcy: „na! pójdz, pójdz, rzecz, cokolwiek teraz zapragniesz, otrzymasz odemnie.“

„Nadto, co dawniej, nie więcej nie żądam; odrzekł wilk i postępował dość sporym krokiem za lecącym o cztery może łokcie nad ziemią skowronkiem.“

Przybyli pod wioskę, w której się odbywało wesele. „Teraz przyjacielu,“ rzekł skowronek, „trzeba nam ostrożność zachować, żeby nas nie spostrzeżono. Tam, w tym wielkim domu obiadują weselnicy; ty się zaczaj pod okno, a uważaj, jak izba będzie próżna — tylko, na Boga, nie daj się widzieć.“

W godowej izbie, stał stół różnemi mięsami zastawiony, w około niego mnóstwo gospodarzy, gospodyń, komoszek, parobczaków i dziewczynek jadło smacznie; kiedy roztworzonymi drzwiami wlatuje skowronek. „A dy go, a dy go, schwytać tego ptaszka! Porwali się wszyscy, gonia, upędzają; a wilk co chwila zajrzy oknem, a ślinka z ust mu ciecze. Nie daj, nie daj, bo uciecze.“ Ptak wyleciał do sieni. Dalej wszyscy za nim. I wilk też już dłużej nie czekając, buch oknem do chałupy, i nuż zajądać czerninę, pieczeń wołową, schab i placki; w oka mgnieniu był syty; więc powywracawszy wszystko, znów swoim wchodem wyskoczył, i w nogi mój drogi! Spostrzegłszy to baczny skowronek, wyleciał także dymnicą na dwór. „A dy, a dy, bo uciecze, bo uciecze. Masz tedy! nie mówiłem? nie było to zatkać tej dziury?“

Tak wołali godownicy, kiedy nasi podróżni już dawno byli w zapłotkach.

„Oj, najadłem się porządnie, ale mi się też teraz pić, pić chce okrutnie.“

„I to będzie, tylko cierpliwość i ostrożność zalecam. Skryj się znów pod ten płot, a uważaj na drogę!“

Przejeżdża z piwem do weselników parobek. Na smyku spoczywała potężna becinka, piwem napelniona, na niej siedział krzepkiego wieku młodzieniec, który trzymając w lewicy topór, w prawej lejckę i bicz, leniwo ciągnącego poganiał wołu; a wygwizdywał i śpiewał ochoczko. Aż ta zmagła usiadł ptak na biczysko. Maciek sięgnie ręką, skowronek uleciał, siada na becjkę. Parobczak nie wiele myśląc, jak się odsadzi, utnie toporem; ptaszek uprzedził cięcie, obręcz pękła i wszystko piwo się na drogę wylało. Nie zważa na to zapalony za ptakiem Macioś, goni go, skowronek usiadł na grzbiecie wołowi, chce go schwytać, ptak znów na rogu zwierzęcia. Kiedy się tak za nim upędza, już wilk z zapłotcia wyskoczywszy, dobrze się piwa nachleptał, i dopiero gdy się już zabrał do ucieczki, postrzegł go Macioś. Wilk, wilk! poczał więc wołać; chwytac go. Ale nim ludzie nadbiegli z gościńca, już ani widnać wilka i skowronka.

„Najadłem i napiłem się do sytu,“ mówił ziający pod szeroką w polu gruszką wilk, do siedzącego obok na kamyczku skowronka, ale bym się też teraz chciał ucieczyć.“

„Będzie i zabawa, przyjacielu, ale nam trzeba czekać do jutra.“

Strudzone wilczyśko usnęło smacznie, bo też już było późno w wieczór. Skoro się na niebie pierwszy brzask ukazał, obudził go towarzysz i znów udali się w podróż. Wkrótce przybyli pod małą stodołkę, w której stary Tomasz z synem swym Jackiem wymłacali resztę pszenicy.

„Teraz przyjacielu,“ rzekł skowronek, „zacznij się pod tę wrotnię, i patrz szparą do stodoły, a będziesz miał uciechy zadość.“

Wilk się też zaraz rozparł, aż deski trzasły, nos wściбіł w szparę i patrzy. Kiedy skowronek rozwartemi z drugiej strony wroty wpada do stodoły, i wypoczywającym młockarzom usiadł na cepę.

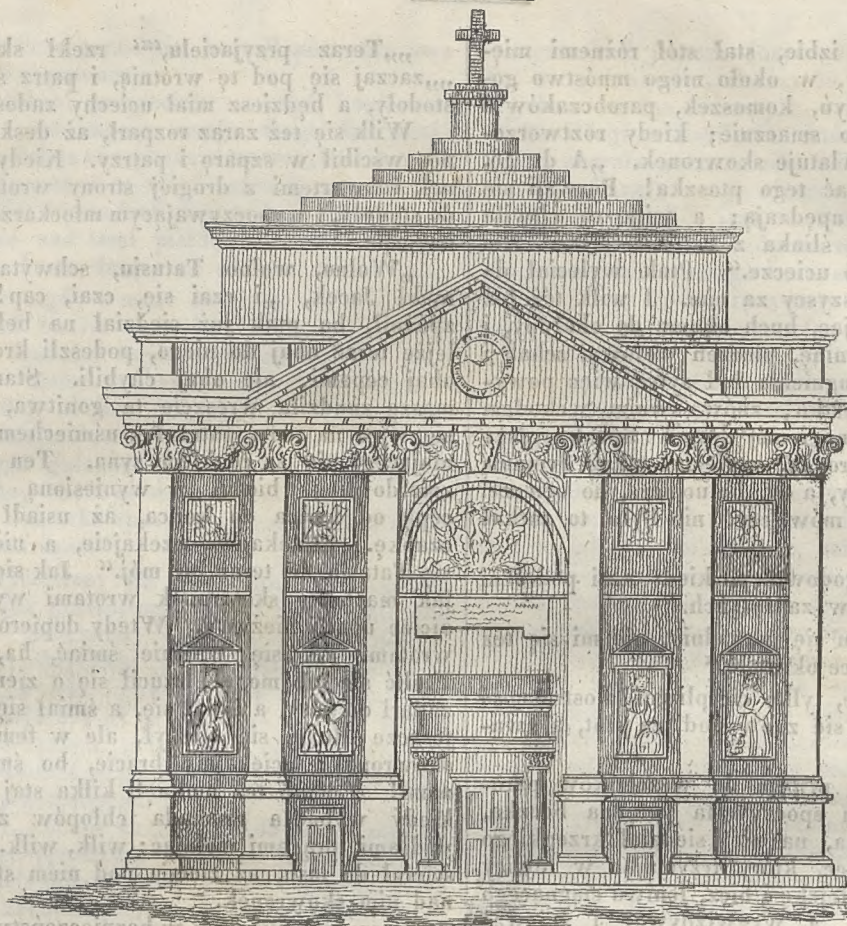
„Wolno, wolno Tatusiu, schwytam go!“ rzekł Jacek, „i czai się, czai, cap! ale się zpóźnił, bo ptak już siedział na belce. Dalejże teraz obaj do niego, podeszli krok, łupną obaj cepami, ale obaj chybili. Starego Tomasza znudziła wreszcie ta gonitwa, oparłszy się więc na cepę, patrzył z uśmiechem na uganianego się za ptakiem syna. Ten zaś niezmordowany biegał z wyniesioną do góry cepą od końca do końca, aż usiadł ojcu na czapkę. „Czekajcie, czekajcie, a nieruszajcie się Tatusiu, bo teraz już mój.“ Jak się odsadzi, jak machnie, skowronek wrotami wyleciał, a ojciec upadł nieżywy. Wtedy dopiero wilk z wrotami jak się weźmie śmiać, ha, ha, ha. Utulić się nie mogąc, rzucił się o ziemię, łapy zadarł do góry, a śmiał się, a śmiał się. Byłby jeszcze dłużej się cieszył, ale w tem piszczał skowronek: uciekajmy bracie, bo śmierć nad nami! Ledwo też umknęli kilka staj za wieś, kiedy wypadła gromada chłopów z cepami, widłami, drągami wołając: wilk, wilk. A wilk ścierał do lasu, aż ziemia pod nim stękała; a nad nim skowronek.

Lecz, gdy już byli w bezpieczeństwie, odetchnawszy sobie nieco, rzekł wilk do drobnego towarzysza: teraz już mam wszystkiego dosyć, braciszku, dziękuję ci serdecznie. Leć teraz sobie do twoich małych, a ja też w moją stronę się udam. Pożegnali się czule: poczem skowronek wesoło nucąc furknął w powietrze, na polu, a wilk wolno krocząc znikł wkrótce w gąszczach leszczyny.

A. B.

Kościół OO. Bernardynów w Warszawie.

Kościół pod tytułem S. Anny wystawiony jest roku 1455 przez Annę księżną mazowiecką wdowę po Władysławie, księciu Mazowieckim: dnia 4. Grudnia wyżej wyrażonego roku w dzień S. Barbary, zostali zakonnicy z okazałą uroczystością wprowadzeni do bardzo szczupłego klasztoru, przez biskupa poznańskiego, i kościół im oddany został; kościół ten i klasztor wraz z biblioteką był później spalony, lecz w roku 1507 i 1509 został odbudowany przez Annę z Radziwiłłów żonę Konrada księcia Mazowieckiego i Lubrańskiego biskupa Poznańskiego. Od założenia i restaurowania tego kościoła i klasztoru po spaleniu, nie jest dokładnie znany stan, tak pierwszego jak drugiego, gdyż w roku 1657, w czasie najazdu Szwedów, został znowu cał-



Kościół OO. Bernardynów w Warszawie.

kiem spalony przez tychże kościół jak i klasztor; w lat potem kilkadziesiąt był odbudowany na nowo kościół i klasztor w takim stanie, w jakim dziś zostaje, a to kosztem różnych dobrodziej. Kościół teraźniejszy co do struktury i piękności nie ustępuje żadnemu z kościołów warszawskich, co do zewnętrznego położenia od frontu, który jest na Krakowskie przedmieście, jest ozdobiony piękną facyatą, zbudowaną w roku 1788, za panowania Stanisława Augusta, nakładem Józefa Kwiecińskiego. W ścianie tej facyaty są umieszczeni czterej ewangelistowie, z kamienia wyrobieni, z boku czyli od strony południowej, między kościołem i klasztorem, jest nie wielka wieża, pokryta miedzią, w której są dwa dzwony nie wielkie; od strony północnej, w jednej linii z frontem kościoła, jest wielka wieża, w której są dzwony dwa, największe ze wszystkich dzwonów w Warszawie będących i należące do archikonfraternii S. Anny.

Stan wewnętrzny: Cały kościół jest malowany przez Walentego Zebrowskiego, zakonnika zgromadzenia XX. Bernardynów 1753 roku; na sklepieniu jest odmalowane życie S. Anny: posadzka jest marmurową, od strony południo-

wój okna są z pięknego szkła lustrowego, dla tego, iż od przeciwniej strony okna być nie mogą, gdyż klasztor przytyka do kościoła.

Kaplic jest 3: błogosławionego Ładysława z Gielniowa, matki Boskiej loretańskiej, i matki Boskiej sokalskiej. Pierwsza założona jest przez Felixa z Drobnina Krzyskiego, kanclerza królestwa Polskiego, a dokończona przez Kutkowskich 1629 roku. Sukienka na błogosławionym Ładysławie jest srebrna pozłacana: ta kaplica jest malowana i ozdobiona trzema obrazami, z galerii obrazów hrabiów Ossolińskich. Trzecia, która przedtem była bardzo szczupła, wybudowana jest większa kosztem Józefa Kwiecińskiego kanclerza, 1790 roku, która znowu została zmniejszoną, gdy z rozkazu wyższego, wzniesiona została galeria, zakrywająca nieforemną ścianę klasztoru od Krakowskiego przedmieścia.

Kaplicę dla matki Boskiej loretańskiej zaczęto budować w roku 1832, a skończona została w roku 1837, kosztem różnych dobrodziej, za szczególnem staraniem Wielebnego xiędza Franciszka Morańskiego, kaznodziei aktualnego i promotora wszystkich bractw, i pana Jana

Zaboklickiego, Szambelana i mistrza obrzędu dworu królewskiego, kawalera orderu S. Stanisława wielkiej wstęgi, i kawalera Maltańskiego.

X.

Cokolwiek o pierwszych biskupstwach w Polsce.

Jak za nieszczęśliwego Jana Kazimierza wojna kozacka, napady Szwedów i innych nieprzyjaznych sąsiadów, przytłumiły w Polsce nauki, już za Zygmunta na wysokim stojące szczeblu; tak niegdyś po śmierci Mieczysława II, gdy następcą Kazimierz w dalekim się ukrywał klasztorze, mordy i pożogi nieszanującej praw klasy wieśniaczej, zachwiały zasady co dopiero rozkrzewiającej się nauki Chrystusa. Zniszczone świątynie pańskie, pomordowani księża, nietylko niemogli być obrońcami nowej wiary; ale też razem z nimi, zaginęła tradycja dziejów kościoła, i erekcja pierwszych biskupstw w Polsce. Aby więc na przedmiot ten jakiegokolwiek rzucić światło, sądzę, iż wypada nam zastanowić się cokolwiek, nad tychże biskupstw założeniem.

Upowszechnione niedawno jest to zdanie, iż Mieczysław I. wprowadzając religią chrześcijańską do Polski, ufundował dziewięć biskupstw po znaczniejszych swego państwa miastach, jak n. p. w Gnieźnie, Krakowie, Poznaniu, Kruszwicy i t. d. Postrzegłem, iż wielu w najnowszych nawet czasach w tym przedmiocie piszących, zdaniu temu, całkiem błędnemu uwieść się dali. Czasy te, za nadto od nas oddalone, a ztąd głęboką pokryte zasłoną, nie postawiają mnie wprawdzie w możności, abym niemylnie w tej mierze mógł wyrokować; lecz zgłębienie źródeł historycznych podaje mi tę myśl, iż żadnej w Polsce nie mamy katedry, która by królowi temu początki swe zawdzięczać miała. Mieczysław I. wstępując w śluby małżeńskie z Dąbrowką, księżniczką czeską, był nawrócony do wiary, z namowy tejże pani, a bardziej jeszcze za staraniem Jordana, biskupa poznańskiego, która katedra jeszcze przed Mieczysławem, przez Ottona I. cesarza założona była. Ze światłem nowej wiary wnijść musieli do kraju także duchowni, którzyby lud nauczali, i nowe wyznanie rozszerzali: musiano także budować kościoły, te jednakże, jak dawniej w Niemczech, tak i w później nawróconej słowiańszczyźnie, nosiły początkowo tylko nazwiska probostw (*praepositurae*), nim je później po większych miastach, z wzmaganiem się Chrześcijaństwem, na biskupstwa zamieniono. Tak Dytmar i inni za nim, opisując te czasy, kiedy Otton I. ufundował Metropolią magdeburską, i przyłączył do niej niektóre kościoły już ufundowane, mówi: że cesarz kazał wyświęcać im proboszczów na biskupstwa, i tychże nazywa pastor ecclesiae Merseburgensis, provisor eccle-

siae Misnensis, custos Havelbergensis ecclesiae. Tych probostw mamy ślad i w Polsce: przypisnik Kadłubka, który żył za Kazimierza W., objaśniając tego historyka, mówi o Mieczysławie I., iż przełożęństwo nad kościołem w Krakowie oddał Jordanowi biskupowi, jeszcze nie Poznańskiemu, ale pod ogólnem nazwiskiem polskiemu, aby ten powszechny, świeżo dopiero założonej owczarni Chrystusowej pasterz, sam go tymczasowie, w niedostatku jeszcze duchowieństwa, sprawował pod imieniem proboszcza. Z tego więc, co się dotąd mówiło, wynika: iż w Polsce przez długi czas były kościoły, nim niektóre z nich na biskupstwa zamieniono; że Jordan, jako apostoł polski, był początkowo naczelnikiem duchowieństwa w całej Polsce, i ztąd nosił nazwisko nie biskupa poznańskiego, gdzie zamieszkiwał, lecz ogólnie biskupa Polskiego, tak jak Chrystyan, biskup Chełmiński, nazwisko Pruskiego, nim kraj ten na cztery dyecezye, to jest Chełmińską, Warmińską, Pomerąską i Sambieńską podzielono. Kiedy zaś probostwa te w Polsce na biskupstwa zamieniono, i tego dojsz nie trudno. Fundacya biskupstw była w ówczesnym dowodem w panujących, xiążąt najwyższej i udzielnej władzy. Przywłaszczali ją sobie cesarze, osobliwie w słowiańszczyźnie, do której ciągle rościli prawa, przyłączając nowo nawrócone zaodrzańskie kraje do Metropoli magdeburskiej. Mieczysław I., którego Dytmar Merseburgski znał osobliwie, i o którym mówi, iż z takim był szacunkiem dla Ottona I., iż nawet przed margrabiemi cesarskimi, usieść nie śmiał, niebyłby zapewne sobie przywłaszczając prawa, które wyłącznie tylko samym cesarzom służyć miały. I że tego istotnie nie uczynił, mamy oczywisty dowód w historykach naszych. Kadłubek, najdawniejszy z nich w edycji lipskiej, przypisuje Bolesławowi Chrobremu ufundowanie dwóch Metropolii, bez wyrażenia, jakich i jakie im poddał dyecezye. Tenże w edycji gdańskiej, zakłada jedną z tych Metropolii w Gnieźnie, drugą w Krakowie. Boguś, biskup Poznański, nie wzmiankuje o żadnej Metropoli, marząc tylko w ogólności, że Bolesław ufundował sześć katedralnych kościołów, najpierwszy poznański, potem Gnieźnieński, dalej Mazowiecki, czwarty zaś w liczbie krakowski. Toż samo co do słowa potwierdza bezimienny przypisnik Kadłubka. Anonim, także kronikarz XIV. wieku, w tomie I. zbioru Sommersberga, to tylko powiada, że Bolesław wiele zbudował kościołów i biskupów postanowił, że ufundował Metropolią gnieźnieńską, poddając jej wielu suffraganów. Lubo więc są cokolwiek różne zdania kronikarzy naszych, w tém się jednakowo całkiem z sobą zgadzają, iż Mieczysław I. żadnego biskupstwa nie założył, co potwierdza i Gallus, przed Kadłubkiem jeszcze żyjący. Pierwszy dopiero Długosz utworzył sobie hierarchią kościelną w Polsce, od czasów Mieczysława I., to

jest od wprowadzenia wiary świętej do Polski, tę podzielił na dwie metropolie, gnieźnieńską i krakowską, i bez żadnych dowodów wprowadził nową bajkę, podobną do tej, jaką nas wprzód obdarzył Bogułał o trzech braciach Lechu, Czechu i Rusie. Zdaniu Długosza uwierzyli niektórzy nasi historycy całkiem, jak Miechowita i Bielski, inni z większą rozważą, jak Kromer. Niedawno ci sami historycy także, którzy nie przyznają Mieczysławowi I. fundacyi biskupstw, przeciągają, lubo mylnie, życie tegoż króla, aż do r. 999. W roku zaś następnym przybył Otton III. cesarz do Gniezna, dla odwiedzenia grobu ś. Wojciecha, i był przyjmowanym przez Ungera, biskupa Polskiego (Poznańskiego) w czym nowy dowód, że jeszcze żadnych innych biskupstw prócz poznańskiego w Polsce nie było. Rok tedy ów tysiączny można śmiało uważać, jako ten, w którym katedry nasze początek swój wzięły. Czas ten uważał Bolesław Chrobry za najdogodniejszy, aby państwo swoje od wszelkich, nawet duchownych, z Niemcami oddalił związków. Czyli zatem cesarza powodowała umowa jaka z Bolesławem zawarta, czyli też niechęć tajemna ku Gizełcharowi, arcybiskupowi magdeburgskiemu, a zarazem metropolicie wszystkich słowiańskich kościołów, aby władzę jego umniejszyć, najprędzej zaś, iż Otton ujrzał w Polsce religią chrześcijańską szeroko rozgążoną, dość na tem, iż tenże wyniósł kościół gnieźnieński na godność arcybiskupią i metropolitą, mianował arcybiskupem Radzyna czyli Gaudencyusza, towarzysza ś. Wojciecha, a trzech innych biskupów zapewne wtenczas także nowo fundowanych, to jest Kolbergskiego, Kruszwickiego i Krakowskiego, pod władzę jego poddał. Zdaje się, iż biskup Poznański czuł się być przeto obrażonym; bo dopiero później metropolicie gnieźnieńskiemu się poddał.

E. K.

Szynka cesarska.

(Z powieści naucezkiego świadka.)

Pamiętny jest odwrót wojsk francuzkich w końcu roku 1812. Mróz, głód, niedostatek, nędza, oto jego opis cały. Magazynów wczesnie zabrakło; każdy przeto żołnierz był przymuszony, starać się sam dla siebie o żywność i zabierać ją z wiosek, rzadko tylko po tamtym kraju rozsianych, i przez pochód poprzedzający dosyć już podniszczonych. Wiadomo bowiem, iż ta ogromna, i mieczem ludzkim do owej chwili niepokonana armia, tym samym powiększej części wracała torem, którym w głąb Rossyi wtargnęła. Nie dziw tedy, że w takich okolicznościach, nawet dla samego wodza trudno było o posiłek, i jemu zapewne nieraz bardzo pożądanym, gdy na czele swych wásalów (gwardyi) dając z siebie przykład, pieszo przebywał niezmiernie śniegu pustynię. Razu pewnego, po

całodziennym tak utrudzającym marszu, sztab główny stanął na nocleg — pod gołym niebem: wioseczka bowiem dla niego na kwatery przeznaczona, tylko na mappie się znajdowała; w miejscu zaś jój było zgorzelisko. Każdy rzucił się na sterzące ze śniegu ułomki, szukając w nich drzewa na opał lub na ochronę od mroźnego wiatru. Cesarz i jego bliżsi towarzysze, pomieścili się pomiędzy niedogorzałymi ścianami. Niedaleko tej wygodnej kwatery, kucharz cesarski rozniecił ogień, zawiesił nad nim kocieł, śniegu pełen, i wpuścił dwie piękne szynki, zawiązawszy je wprzód, zwyczajem francuzkim, w serwetę. Były one zapewne zdobyczą, kupioną od jakiego żołnierza, za kawał chleba lub miarkę wódki. Pożeraliśmy wzrokiem owe szyneczki, stojąc opodal, i grzejąc się nad ogniem, u którego na nieszczęście nie się jeszcze niegotowało; ponieważ kilku ludzi naszych, z marszu do wsi na boku leżącej po żywność wysłanych, nie wróciło. Po żołniersku kleliśmy głód, który nam dokuczał, i spoglądali raz poraz na szczęśliwszą cesarską kuchnię: w tem powstaje od ognia żołnierz z piechoty i odzywa się do mego sąsiada, podobno zwierchnika swego: „Panie poruczniku, my te syneki zwędzimy; tylko panowie niech kucharza wezmą w obroty.“ Zrozumieli go wszyscy i swoi i obcy, tak giest jego i twarz, chociaż chustkami obwiązana, były wydatne; bo głód czyni wymownym i dodaje przebiegłości, na której zresztą piechurowi naszemu, co się pod karabinem zestarzał, nie zbywało. Wziąwszy topór od sapers, oddalił się, a kilku z nas zbliżyło się go kuchmistrza, dla zagajenia z nim rozmowy: jeden wodeczką poczęstował, drudzy skarżyli się na tęgość mrozu, czemu on, przypijając, częstemi przekleństwami kraju tamtego potakiwał. Tymczasem wiarus nasz uciawszy dwie porządne szynki z konia zmarłego, zwinął w szmatę białą, czyli też w chustkę podobno od nosa, schował pod płaszcz i tak idąc mimo kotła cesarskiego, od którego kuchmistrz był odwrócony, w mgnieniu oka wrzucił do niego końskie, a natomiast wyciągnął z wrzacej już wody owe dwie szyneczki wieprzowe. Niepuścił ich z ręki mocno oparzonej; lecz tuląc pod połę płaszcza z dobrą miną wrócił do naszego ognia. Rozeszliśmy się od kucharza, i widzieli, smacznie zającąc kolacją, nie dla nas sporządzoną, jak ten raz poraz nozem kłuf szynki, aby widzieć, czy się już dogotowały; nareszcie zdziwiony nieustającą ich twardością, porywa je z kotła, poznaje zamianę i krzyczy co gardła. Sto milionów d... skradziono mi szynki! skraść! co za zuchwalstwo!.... Daremne krzyki, daremne poszukiwania w nocnym nieładzie. Niewiedzieć co tam zastawił panu swemu na wieczerzę; szynkę nie znalazł, tylko budząc się o świcie, ujrzał w popiele przed sobą, kości z nich czysto obgryzione.

Stefan Czarniecki.

(Wyjętek z niewydanego poematu.)

Obraz hord tatarskich za panowania Jana Kazimierza w Polsce, i opisanie walki Czarnieckiego z Tatarem.

Najpotężniejszy z władców Tamerlana kraju,
Pan Krymu, Perekopu, Budziaku, Nagaju,
Islam Gieriej, chcąc wsławić córki zaślubiny,
Hordy na Oczakowskie powołał równiny,
Obwieścił w koczowiskach, obwieścił w obozach,
Zapasy i gonitwy konne i na wozach.

Zaledwie odgłos trącił Kaukazkie szczyty,
Zagrzmiała przestrzeń ziemi końskimi kopyty.
Jak szarańcza ruszona od Azji krawędzi,
Lub chmury, gdy je wichry z otchłan morskich pędzi,
Z stepów, które Dniepr, Wolga, Don i Jaik dzieli,
Od Meotyckich głębin, kaspijskich topieli,
Od Hemu, od Tauru, brzegów Euxynu,
Ruszył się tłum, jak mrowie, mongolskiego gminu.
Szczęk mieczy, gwary dzieciny, rzenie bystrzych koni,
Zagłusza szumy wichrów i ryk morskich toni;
Tuman pyłu i z cięciw wypuszczone strzały,
Zaćmiły światło słońca i dzień przyszył biały.
A skoro Szatry, plemie rozbojczy osiadło,
Zdało się, że z powietrza miasto na dół spadło,
Że wstał Pekin, lub Stambuł rozciąga Bazary,
A co kiedy posiadał świat nowy i stary,
Co łądował na morza, czem ozdabiał lądy,
To na grzbietach dźwigają konie i wielbłądy.
Znalazł się tu wtroczone Dellickie trójnogi,
Emfezu i Memfis z drogich kruszców Bogi,
Szczałki zgruchotanego tronu Ekbatany,
I czary Mitrydata i Partów kołczany;
Jasne Tyru szkarłaty, koryntyjskie spiże,
Księżycze Mahometa, Konstantyna krzyże,
Orły, pierścienie rzymskie, germańskie koncerze,
Słowiańskie roztruchany, szable i pancerze,
Sprzęty Chin i Japonu w szklące zdobne farby,
I więzionego w klatce Bajazeta skarby.
Wszystkie pamiątki zgasłych wieków i narodów,
Tylu plemion zgładzonych, obalonych grodów
Drogie zabytki w kunsztach, dostatkach i sztukach
I koleją rozboju, dzieje bogactw w jukach.

Jedna tu wiara, jedna chuć krwawych zdobyczy,
Ale ile hord różnych, tyle różnej dzieciny.
Wszystkich okropne lica, a srogość zwierzęca;
Jednym się was szczeciły w grube kudły skręca;
Tym czarne, a tym rude włosy strzępią brodę,
Oczy drobne, nos płaski mają za urodę,
Wargi obwisłe, uszy opadłe na szate;
U jednych wiszą z barków kubraki kosmate,
Innym siermięgi z piłśni bydląt kryją boki,
Lub skóry z trzód Bukarskich, nieoschłe z posoki.
Na głowach sterczą kozie kołpaki do góry,
Lisie i wilecze czapki, z kroju jak kaptury.
Broni u nich krzywe miecze, noże, samopaly,
I w sajdakach zatrute jadłem gadów strzały.
W dłoniach ostrzem sterczące na powietrze spisy,
Na ich drzewach krwią ludzką kreślone napisy;

Czaszki z głów więźniów zdarte, piersi, biodra stroją,
Z nich się, jakby nektarem, mlekiem klaczy poją.
Karmią się mięsem zrzebów, — paszczę brudną, krwawą
Chłoną potem ich kulbak przewarzoną strawę!
Tranem ryb maszczą barki, obuwie i czoła,
A cuchnący ich oddech zabija do koła.

Genewski filozofie, w twym sennem marzeniu,
Takiegoś życzył szczęścia ludzkiemu plemieniu;
Takiego społeczeństwa pragniecie korzyści,
Zagorzali w naukach waszych Symoniści!

Wznosiły się na wyższym miejscu dwa namioty,
Na każdym dach szkarłatny, na nim księżyc złoty;
W jednym Han siedział, władzy okryty znamionem,
W drugim pod strażą Murzów stał koń ulubiony;
Z perłowej czary pijał, w złotym żłobie jadł,
Sam go Gieriej pał ryżem i sam go dosiadał.
Wyszedł przed namiot Gieriej i spojrzął na tłumy
A w uczuciu potęgi i w zapale dumy,
Rzekł: niech tu jeńców wszystkich przywiodą narodów,
Niech ujrzą mą potęgę i wspaniałość godów;
Niech się mych gromów ziemia załknie daleka,
Już wie świat, czego doznał, niech wie, co go czeka!

W liczbie więźniów strzeżonych przez dzikie Tatary,
Stały smutne Korsunia, Żółtych wód ofiary.
Po zwycięstwie bezbożny Bogdan, zdrajca w wierze,
Zaprzedał je Hanowi i kupił przymierze;
Na czele, bez buławy, stał hetman sędziwy
Potocki, równie ojciec jak wódz nieszczęśliwy;
Kalinowski na ciosy zachowany krwawo,
Bodajby był nie sięgnął nigdy po buławę.
Stał Szemberg i Sapieha, dwa zaszczyty Litwy,
Sieniawski, co go wprawiał Chodkiewicz do bitwy,
Kazanowski, zapasnik dzikich hord od młodu,
I Sobieski z groźnego Bisurmanom rodu;
W tym tak świetnym orszaku, Czarniecki za nimi,
Piersi jego żal wzdyma, wzrok wryty ku ziemi;
Nie tyle mu dolega niewola i rana,
Ile klęski ojczyzny i ta groźba Hana.

Był Murza przy Gieraju, Achmed mu na imię,
Postać jego olbrzymia i siły olbrzymie;
Wzrok jego groźny, czarna brew zachmurza włosom;
Ten, gdy trąby zagrzniały, straszny krzyknął głosem:
„Kto jest, co śmierci szuka, niech się zemną zmierzy!”
I kręcąc ostrą włócznią wyzywał rycerzy.
A który wstąpił w szranki, zaraz na pół płał,
Włócznią strącał z rumaka, mieczem głowy zmiatał.
Ten, gdy mu już nie stało z dzieciny zapasnika,
Martwym trupom uraga i tryumf wykrzyka,
I spieszy do Gieraja po dary i wieńce.
W tem spostrzegłszy na stronie w wieżach Polskie jeńce,
Z uśmiechem rzekł szydlerczym: „Może który z Łachów
Zechce teraz doświadczyć mój broni zamachów!”
„Wróć broń i wolność, krzyknął Czarniecki w zapale,
„A ja cię jednym cięciem na ziemię obalę!”
(Koniec nastąpi.)

J. Kraszewski.

Już czytelnicy Przyjaciela Ludu czytali nie-
raz z wielką przyjemnością i w naszym piśmie

i w innych, artykuły J. Kraszewskiego; spodziewamy się zatem, że ich zajmą rysy pisarza, który w obecnej chwili do najplodniejszych należy. Obrazek nasz wyjęty z *Poezyi tegoż autora, wyszłych w Wilnie r. 1838 w 2 tomach*, o których już różne pisma czasowe wzmiankowały. Pan Kraszewski urodził się 26. Lipca 1812 r. ma więc teraz lat 26; przecież już tyle napisał! a jak pisze!



J. Kraszewski.

List Bonapartego do aktora Talmy.

Pewne pismo peryodyczne ogłosiło jeden jeszcze niewydrukowany list Napoleona do Talmy, pisany wkrótce po zdobyciu Toulonu: „Drogi mój Talmo! Biłem się jak lew za Rplitą, a ona mnie głodem morzy. Już są wyczerpane wszystkie zapasy. Ten nędzny człowiek Aubry (ówczasowy minister wojny) zostawił mnie tutaj na bruku: zdaje się, że zupełnie o nas zapomniął; a mógłby przecie co ze mnie zrobić. Czuję w sobie siłę, że potrafię wysadzić generałów *Santerre i Rosignol*, a nie mają kącika w Wandei, gdzieby mnie posłać? Ty jesteś szczęśliwszy odemnie: twe powołanie od ciebie zawisło. Dwie godziny występujesz na deskach przed publicznością, i odnosisz oklaski i zasłużone wieniec. My wojskowi na większą występujemy scenę, której nam nie zawsze pozwalają. Nie żałuj, żeś jest aktorem! zostań przy teatrze! kto wie, czy mi się uda kiedykolwiek wystąpić na nową scenę. Wczoraj widziałem Mouwella (był to aktor i poeta teatralny). Cóż to za wyborny człowiek. Barras ludzi mnie pięknymi nadziejami! ale czy

ich dotrzyma? Wątpię! Tymczasem niemam już ani szelaga. Jeżeli masz z kilka talarów, przyslij: przyjmę z wdzięcznością i zahipotekuję na nowem królestwie, które zdobędę mocą mego oręża. Przyjacielu! jak szczęśliwi byli bohaterowie Aryosta, że nie zależeli od ministra. Bywaj zdrow i kochaj mnie. *Bonaparte.*

Przysłowia węgierskie.

Że Węgrzyni kochają swój kraj namiennie, przekładając go nad wszystkie inne, dowodzi ich łacińskie przysłowie:

Extra Ungariam non est vita:

Si est vita?

Non est ita.

Oj! każdy zgodzi się z nami:

Nie masz życia za Węgrami.

Jest li jakie?

To nie takie. —

A swe krajowe wino że lubią! i na to znów mają przysłowie: *Non est cibus, nisi caro, non est potus, nisi vinum, non est vinum, nisi ungaricum.*

Książki z nakładu Franciszka Pillera i Spółki we Lwowie, które sprowadzać można z księgarni Ernesta Günthera w Lesznie:

Pisma Seweryna Goszczyńskiego. 3 tomy. 12. Lwów 1838.

Cena: Na welinowym papierze 4 tal., czyli 24 złt.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. Ciechański.)